

Teksty Drugie 1996, 6 , s. 81-92



Polskie spory o język

Ewa Szary-Matywiecka

na pierwszym miejscu stawiała niepodległość kraju, „żydowsko-postępowa” preferowała równouprawnienie.¹⁴

Tradycyjna postawa lojalności okazała się niewystarczająca dla przezwyciężenia tej dychotomii. Ponieważ jednocześnie nie udało się postępowcom odseparować od gmin tradycyjnych, do czego dążyli mając na celu utworzenie autonomicznych jednostek, poszukiwanie tożsamości musiało przenieść się na teren ortodoksyjnej gminy, czyli do jej „źródła”.

Gminy zresztą także nie oparły się tendencjom modernizacyjnym. Coraz więcej było bowiem wykształconych Żydów, którzy egzystowali niejako poza dwoma światami — tym ściśle ortodoksyjnym żydowskim i tym ściśle chrześcijańskim, chociaż pozostawali i z jednym i drugim w bliskim kontakcie. I, o ironio, właśnie ta grupa, powstała niejako z przypadku, odegra główną rolę w późniejszych „wewnątrzrodowiskowych” próbach odnalezienia żydowskiej tożsamości. W tych poszukiwaniach posługiwano się wprawdzie językiem polskim, ale często wyrażano w nim inne treści, np. jeśli chodziło o polityczne preferencje. I ta „inna polskość” powoduje też wspomniane na wstępie powroty — stanie się ona istotnym wyznacznikiem tożsamości żydowskiego inteligenta.

Hanna Kozińska-Witt

Polskie spory o język

Na książkę Zbigniewa Klocha *Spory o język*¹ składają się dwa rodzaje powiązanych ze sobą zagadnień. Jedne mają wymiar europejski, ogólny i filozoficzny, natomiast drugie — swoiście polski, historyczny, konkretny. Z jednej strony przedmiotem tej książki jest dokonane w latach 1795–1830 przez polskich gramatyków i pisarzy przyswojenie i rozwinięcie europejskich teorii dotyczących fenomenu języka, jakie powstały wcześniej w: XVII i XVIII wieku. Z drugiej strony równie ważnym przedmiotem uwagi autora jest ustalenie się w tym czasie, w latach 1795–1830, trwałych właściwości i reguł gramatycznych polszczyzny oraz wyraźne pogłębienie

¹⁴ Błoński mówi o usiłowaniach otoczenia, by „przerobić” Żydów na Sarmatów, do czego Żydzi zresztą wcale nie dążyli.

¹ Z. Kloch *Spory o język*, Warszawa 1995, Wydawnictwo IBL.

wiedzy pojęciowej o tym zjawisku w pracach polskich twórców. Głównymi europejskimi bohaterami omawianej książki są filozofowie języka i kultury: Arnauld, Lancelot i Nicole ze szkoły w Port-Royal, G. Vico, Condillac, J. J. Rousseau, J. Herder. Natomiast wśród polskich bohaterów czołowe miejsca zajmują gramatycy, filozofowie i pisarze: O. Kopczyński, S. K. Potocki, J. Śniadecki, K. Brodziński i J. Mroziński.

Książka Klocha wprowadza więc w ówczesne europejskie i polskie dyskusje na tematy tak odwieczne i do dziś nie rozstrzygnięte jak: pochodzenie języka, natura znaków językowych, związek języka i myślenia, relacje między językiem i kulturą. A poza tym zaznajamia z problematyką polskich debat i polemik wokół zasobu i właściwości naszych głosek, charakterystycznych jakości naszego akcentu, a i wokół całego szeregu krystalizujących się wtedy norm poprawnościowych z zakresu ortografii oraz interpunkcji. Wszystkie pozostałe kwestie rozważane przez autora są rozwinięciami tych dwóch zasadniczych zagadnień: natury języka i znamion języka polskiego. A dotyczą one: polskich słowników synonimów, które układano u nas wzorując się na podobnych dokonaniach obcych; poglądów i przekonań polskich pisarzy na zjawisko stylu, a poza tym sylwetek Brodzińskiego i Mrozińskiego, twórców najdojrzałych polskich teorii języka tamtych czasów.

Przyjrzenie się zjawisku splatania się w dawnych polskich sporach o język nastawień badawczych o charakterze teoretycznym oraz opisowo-normatywnym jest pierwszą z dwóch najważniejszych zalet omawianej książki. Kloch, wydobywając na światło dzienne przejawy obu tych praktyk pozostaje w zgodzie z dążeniami ówczesnej nauki o języku. Ale daje również wyraz swojemu przywiązaniu do teoretycznego ukierunkowania całej XX-wiecznej lingwistyki, z perspektywy której opisuje i komentuje tamte polskie spory o język z przełomu XVIII i XIX w.; odwołuje się przy tym do twierdzeń i pojęć wypracowanych współcześnie przez lingwistykę strukturalną i semiotykę tartuską: to właśnie na „języki” tych teorii przekłada zawartość problemową tamtych dawnych badawczych poszukiwań.

Okoliczności te sprawiają, że żywioł teorii — rozumowań, wyjaśnień, dowodzeń — jest w *Sporach o język* wszechobecny. Żywioł teorii pojawia się w niej nie tylko wtedy, gdy Kloch wyposażony we współczesne kategorie semiotyczne i strukturalne, referuje takie lub inne wątki problemowe zawarte w „teoriach języka” Rousseau, Brodzińskiego, Herdera, czy Mrozińskiego. Ale także wtedy, gdy omawia konkretne

problemy językowe, jakie wyłaniają się z referowanych przezeń dyskusji. Autor, by dotrzeć do istoty tych problemów oraz do sedna wymiany zdań na ich temat, z reguły kieruje naszą uwagę na zjawiska i prawidłowości ogólniejsze, oddziaływające w języku i wokół języka w sposób nie dający się uchwycić bezpośrednio, naocznie. Można więc powiedzieć, że autor książki, omawiając dawne „teorie języka”, a poza tym komentując dawne konkretne problemy językowe, przechodzi — jak to się dzieje w całej współczesnej lingwistyce — od opisu do teorii. Właśnie to podporządkowanie rozważań żywiołowi teorii, wyrażające się w sprawności referowania całościowych koncepcji języka, a także w umiejętności rozszyfrowywania niejawniej istoty zjawisk językowych wywołujących dyskusje i polemiki — jest drugą z najważniejszych zalet książki Klocha.

Zobaczymy na dwóch przykładach jak przedstawia się „w działaniu” owo teoretyczne podejście do roztrząsanych przez niego konkretnych przedmiotów sporów językowych.

Omawiając polskie dyskusje wokół pisowni zanikających głosek pochylonych á, é, ó oraz niedokładności pisowni głosek oznaczanych literami i, y, j, łączy Kloch pojawienie się konkretnych, choć spornych zaleceń ortograficznych z oddziaływaniem ogólniejszych mechanizmów komunikacyjnych. Dowodzi eż przy tym, że te zalecenia były rezultatem ścierania się zwyczaju i normy gramatycznej. Oznaczało to konkurowanie wśród świadomych użytkowników języka zachowań tradycyjnych, polegających na uwidocznianiu w pisowni kompletu cech wymowy głosek, i dążeń nowszych, mających na celu wyegzekwowanie konwencjonalności zapisu tych cech. Innymi słowy, sporność ówczesnych zaleceń ortograficznych jest tu wywiedziona ze współoddziaływania starej zasady: „pisz tak, jak mówisz” (s. 61) i świeżego, ożywczego domysłu ze: „pismo nie jest wiernym odbiciem mowy” (s. 63). Autor wskazuje na to, że poprawne rozstrzygnięcie konkretnych problemów ortograficznych zależało nie tylko od nowatorskiego ujęcia swoistości wypowiedzi zapisanych. Stawką było tu bowiem w istocie trafne ujęcie samej natury związków między mową i pismem jako odrębnych, choć stale współdziałających ze sobą typów komunikacji językowej.

Podobnie ma się rzecz z podejściem do konkretnych problemów językowych wyłaniających się z ówczesnych dyskusji o prozodycznych — brzmieniowych — właściwościach naszego języka. I tym razem łączy Kloch pojmowanie określonych danych językowych z trafnym rozpoznaniem zjawisk i prawidłowości ogólniejszych. W tej dyskusji,

odwrotnie niż w poprzedniej, stawką było poprawne odniesienie się uczonych do dźwiękowego, nie zaś pisemnego, wyrazu mowy. Znamienne jest to, że uwagi autora nie przyciąga wyłącznie tzw. „polski iloczas”. Choć to właśnie dyskusyjne zgłębienie tego problemu odmieniło wiedzę ówczesnych polskich lingwistów o rzeczywistych cechach polskiego akcentu. Trzeba wyjaśnić, że chodziło o wyeliminowanie błędnego przekonania jakoby brzmienie polszczyzny charakteryzowały, jak w językach antycznych, wartości iloczasowe (zmienna długość wymowy sylab), a nie akcentowe. Jednakże w *Sporach o język* kwestią równie ważną, jak właśnie wskazana, jest rozpoznanie cech i rodzajów naszego akcentu jako budulca wierszotwórczego, a więc jako materiału „miar” wierszowych, „stanowiących sylabiczno-akcentowe odpowiedniki stóp poezji antycznej”, a „wypływających z istoty języka polskiego” (s. 99). W przekonaniu Klocha owe dyskusje o „polskim iloczasiu” i „miarach wierszowych” były przejawami zgłębiania przez polskich uczonych ogólniejszego zagadnienia, jakim jest wiązanie się dźwięku i słowa w mowie, a szczególnie w wierszu. Zdaniem autora to ogólniejsze zagadnienie: „relacja słowo — dźwięk (prozodia) języka — rytm muzyczny” (s. 101) przebija przez wszystkie dyskutowane wówczas konkretne kwestie iloczasu, akcentu, miar wierszowych odpowiadających greckiemu heksametrowi, wierszy przystosowanych do śpiewu, itp. Przebija przez te kwestie tym bardziej, że cała epoka — na co wskazuje Kloch — miała poczucie głębokiego pokrewieństwa wartości duchowych, muzycznych i poetyckich.

Rozważania Klocha o sporach ortograficznych i prozodyjnych przedstawiłam bliżej nie tylko z chęci unaocznienia ich teoretycznego charakteru. W tych „poprawnościowych” sporach skupiło się „żywe zainteresowanie problemami językowymi”, świadczące o „rozwoju polskiej świadomości językowej lat 1795–1830” (np. s. 74 i 124). Z rozważań autora wynika jasno, że kontrowersje związane z rozumieniem swoistości mownych (a szerzej: retorycznych) i pisemnych (a szerzej: literackich) typów komunikacji były impulsami tego rozwoju. Dlatego dały o sobie znać także w dyskusjach o interpunkcji i o stylu. Z rozważań Klocha wynika ponadto, że były one równie silnymi czynnikami rozwoju „świadomości językowej lat 1795–1830”, co przemiana poglądów polskich uczonych na istotę języka, jaka następowała za sprawą prac Kopczyńskiego, Brodzińskiego i Mrozińskiego. W trakcie tej ewolucji przekonania charakterystyczne dla całej

epoki (Kopczyński, Brodziński), zderzyły się z przekonaniem na wskroś nowatorskimi (Mroziński). Nie sposób więc odnieść się do owej najważniejszej dla autora *Sporów o język* kategorii pojęciowej „polskiej świadomości językowej lat 1795–1830”, nie zastanawiając się nad zakresem ogólnych treści i konkretnych zjawisk, jakie zostały z nią związane.

Kategoria ta stanowi założenie badawcze, którego przedmiotem jest „rekonstrukcja i interpretacja językowej i stylistycznej świadomości formułowanej w pismach wybitnych przedstawicieli okresu” (s. 9). Nie jest jednakże czymś oczywistym to, że pojęcie „polskiej świadomości językowej lat 1795–1830” ma obejmować jedynie wiedzę o języku i o polszczyźnie, posiadaną i upowszechnianą przez profesjonalistów, znawców, uczonych. Ani też to, że czynnikami rozwoju „świadomości językowej” są nade wszystko spory o język oraz trafność profesjonalnej kodyfikacji konfliktowych zachowań językowych. I nie chodzi wcale o to, że z pojęciem „polskiej świadomości językowej lat 1795 — 1830” można by złączyć zjawiska spoza w e w n ę t r z n e g o terytorium języka i zarazem polszczyzny. A zatem, nie tylko te dostrzegane, doceniane i dyskutowane przez ówczesnych lingwistów i pojedynczych pisarzy, wchodzących w ich rolę. Ale także te zjawiska, którymi żyli i żyją wszyscy pisarze jako twórcy komunikujący coś poprzez język, przedstawiający ludzkie konflikty zmaterializowane w tekstach, a zatem, jako twórcy kreujący obrazy wypowiedania się w mowie lub piśmie oraz posługiwania się określonymi stylami. Choć przecież w grę mogłyby tu wchodzić — na przykład początkowe wersy Wielkiej Improwizacji zapisane przez Mickiewicza około 1830 r.:

Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,
Obejmie okiem wszystkie promienie jej dacha?
Niewczesny, kto dla ludzi głos i język trudzi.
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochłona i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połknietą, niewidzialną rzeką.
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką,
Gdzie pędzi, czy się domyślą?²

² A. Mickiewicz *Dziady, Dzieła*, t. 3, Warszawa 1953, s. 158. Punktem wyjścia do takiego prze-myślenia słów Mickiewicza, w związku z problemem „świadomości językowej”, mogłyby stać się ustalenia Z. Mitoska, zawarte w pracy: *Język kłamie? (Raz jeszcze o Mickiewiczu)*, w: *Dziwiewiętnastowieczność*, Wrocław 1988.

Nie, nie chodzi wcale o to, że można sobie wyobrazić książkę poświęconą „polskiej świadomości językowej lat 1795–1830” (lub innemu przełomowemu okresowi), która szerzej by omówiła zjawiska — dla lingwistyki — zewnętrzne, zawarte w literackich użyciach i przedstawieniach języka oraz w swoiście literackich, w tym także poetyckich „teoriach języka”. Choć książka taka mogłaby uwzględniać „gesty językowe” zawarte w publicystyce, a i w żywej mowie. Nie, nie chodzi wcale o to, co mogłaby podsunąć w tym zakresie wyobraźnia. Bo Kloch jest nade wszystko badaczem języka, a nie literatury. I z pewnością nie dałoby się go namówić na przestudiowanie choćby powieści J. U. Niemcewicza *Dwaj Panowie Sieciechowie* z 1815 r., która ma wielki lingwistyczny temat: formowanie się świadomości dwojga przedstawicieli tego samego rodzaju w radykalnie zmieniających się z pokolenia na pokolenie — w zakresie słownictwa, składni i pragmatyki — „strumieniach” mowy. Chodzi natomiast o to, że samo pojęcie „polskiej świadomości językowej lat 1795–1830”, tak jak jest przez Klocha rozumiane, powinno stać się dla niego teoretycznym problemem wartym osobnego i wielostronnego rozważenia. Tak, by nie uwzględnione przejawy „świadomości językowej” zostały jednak wskazane jako potencjalne czynniki jej rozwoju. Więcej, by w sposób pośredni były jednak w wywodach autora obecne, choćby w postaci pojedynczych nawiązań czy napomnień.

Poza tym, teoretycznego uzasadnienia wymagałby sam wybór lat 1795 i 1830 jako momentów wyodrębniających ważny okres rozwoju „polskiej świadomości językowej”. Mogłoby się bowiem wydawać, że chodzi o czas zderzenia się nastawień oświeceniowych i romantycznych. Gdyby było tak istotnie, wśród bohaterów tej książki musiałby pojawić się obok Herdera — W. v. Humboldt. Natomiast bracia A. i F. Schleglowie musieliby wystąpić w niej nie tylko przy J. N. Kamińskim, lecz także przy Mickiewiczu. Tymczasem autorowi chodzi o czas, w którym „świadomość językowa” Kopczyńskiego, Potockiego, Śniadeckiego i innych badaczy, przeniknięta, mniej lub bardziej, treściami oświeceniowymi, zderza się z prestrukturalną wrażliwością jednego badacza, Mrozińskiego. Moje zastrzeżenia i moją diagnozę potwierdzają nieoczekiwane słowa Klocha: „Powiedzmy wyraźnie: Mroziński nie wywarł głębokiego wpływu na świadomość językową czasów, w których pisał. Jego myśl było po prostu zbyt oryginalna, zbyt daleka od stereotypowych przekonań o języku” (s. 155). Czyżby świadomość językowa okresu, o którym pisze Kloch, miała zamykać

się ostatecznie w „stereotypowych przekonaniach o języku”? Choć więc w *Sporach o język* dominuje problematyka teoretyczna, co starałam się unaocznic, to kluczowe dla niej pojęcie „polskiej świadomości językowej lat 1795–1830” nie jest w wystarczający sposób zinterpretowane.

Sądzę, że jeśli na problem „świadomości językowej” spojrzeć z obu perspektyw, lingwistycznej, jaką obrał Kłoch, i literackiej, jaką podsuwają pisarze, to najistotniejszą rzeczą staje się „płynna” natura naszego uczestnictwa w dziedziczeniu języka. Wyraża się ona w wiedzy, jaką zdobywamy o jego trwaniu, a jednocześnie w naszym poczuciu zanurzenia w żywych „strumieniach” mowy. Z „płynności” tego procesu dobrze zdawał sobie sprawę Mickiewicz, gdy oburzał się na myśl, że językoznawcy stawiają sobie za cel przekształcanie żywego języka — w martwy. Kończąc swoje *Wykłady* w roku 1843, mówił do słuchaczy: „wiecie, Panowie, że autorowie słowników i gramatyk nie wzbogacili języka ani jednym nowym wyrażeniem. Zauważono to powszechnie, ale dopiero Polacy z tego wywiedli prawa filozoficzne. W świeżo wydanym dziele polskim autor okazuje, jak językoznawstwo ze swoją składnią, ze swoimi gramatykami i słownikami oddziaływało zawsze w zgubny sposób na język rodzimy. Ludzie trudniący się nim, pozbawieni ducha twórczego, chcą zawsze ustalić, ująć w definicje i zatrzymać to, co jest żywotne, zdolne do postępu i nie dające się zdefiniować”³. I choć dziś patrzymy inaczej niż Mickiewicz na wyniki prac językoznawców, bo nie wyczerpują się one w układaniu słowników i gramatyk, to nie możemy odrzucić jego myśli, że język trwa, lecz — paradoksalnie — trwa w tym, „co jest żywotne, zdolne do postępu i nie dające się zdefiniować”. Na tle tej „płynnej” natury dziedziczenia języka daje się, jak sądzę, lepiej rozumieć, referowany przez Kłocha na przestrzeni całej książki, spór propagatorów wskrzeszenia „języka Zygmunów — bezsprzecznie najdoskonalszego wzoru mowy polskiej” (s. 49) ze zwolennikami akceptowania mownych innowacji, wychodzącymi z założenia, że „gramatyk może jedynie podążać za rozwojem mowy” (s. 160). A to dlatego, że dopiero na tle owej „płynnej” natury dziedziczenia języka widać jasno, że różnice postaw językoznawców wynikały z paradoksalnej dwoistości, jaka cechuje postrzeganie rodzimego języka. Z jednej strony ukazuje się on

³ A. Mickiewicz *Literatura słowiańska. Dzieła*, t. 11, s. 453, Warszawa 1953. Zamieszczony w tym cytacie odsyłacz wyjaśnia: „Obacz *Rozprawy o języku* Deszkiewicza, Lwów 1843”.

naszym oczom jako zdominowany przez kulturę „już wysłowionego”, wystawiony na łup słownikarzy i gramatyków, gotowy, wzorcowy. Z drugiej zaś — jako stale od nowa przetwarzany w żywy sposób przez mówiących, poetów i pisarzy, i dlatego jako nie gotowy i nie wzorcowy. Kiedy więc patrzy się na problemy podnoszone przez autora *Sporów o język* nie tylko z lingwistycznej, lecz i literackiej perspektywy, nabiera się przekonania, że w tamtych latach nie mniej ważnym „sporem o język”, co batalia o „język Zygmunów”, była wojna z językiem *Sonetów krymskich* Mickiewicza⁴. Sądzę więc, że sednem problemu „świadomości językowej” jest odpowiedź na następujące pytanie: co to jest uczestnictwo w dziedziczeniu języka? jaka jest natura tego procesu? co nasi przodkowie, a za nimi, my sami, przejmujemy w tym procesie jako gotowe, a co kreujemy? czy te dwa składniki daje się w ogóle rozdzielić?

Wśród problemów roztrząsanych przez twórców licznych XVIII-wiecznych teorii języka, do których nawiązywali polscy uczeni, Kloch wyróżnia cztery wielkie zagadnienia. Pierwsze, to drogi języka od jego form pierwotnych („migów”) po formy rozwinięte, słowne. Drugie, to nieprzejrzysta natura znaków językowych: nie umiano bowiem rozstrzygnąć, czy przechowuje ona w sobie obrazowość migów, czy wpływ wspólnotowego porozumienia grupowego. Trzecie, to związek języka i myślenia. I czwarte zagadnienie — odzwierciedlanie się w języku cech społeczeństwa władającego nim i odwrotnie, wpływ języka na kulturowy kształt tej społeczności. W ujęciu Klocha trzecie zagadnienie, relacje między językiem i myśleniem, ma w stosunku do pozostałych wartość problemu ośrodkowego.

Autor słusznie zauważa, że w europejskich i polskich teoriach języka sformułowanych w XVIII w. i na początku XIX odżył starożytny spór kratylistów z konwencjonalistami, opisany przez Platona. Sam patrzy jednak na te teorie z perspektywy lingwistyki strukturalnej i semiotyki tartuskiej. Przyjmuje więc, że i w starożytnym sporze, i w dociekaniach z przełomu XVIII i XIX w. liczyły się ostatecznie racje konwencjonalistów. A to przesądza o wielu sprawach.

Po pierwsze — Kloch ani razu nie mówi o owych wielkich zagadnieniach, podnoszonych w dawnych teoriach języka, jako o problemach nie rozstrzygniętych definitywnie do dnia dzisiejszego. Sama odnosi się do tych zagadnień, także w tej recenzji, jako do problemów od-

⁴ Monografistą tej wojny jest W. Billip, zob. jego pracę: *Mickiewicz w oczach współczesnych. Dzieje recepcji na ziemiach polskich w latach 1818–1830*, Wrocław 1962.

wiecznych i otwartych. A kieruje mną nie tylko własne przekonanie, lecz także praktyka badawcza J. Lyonsa. O XVIII-wiecznym problemie genezy języka pisze on poważnie jako o kwestii „nierozwiązywalnej”, natomiast pozostałe ówczesne zagadnienia językowe traktuje jako przedmioty kolejnych teoretycznych przybliżeń⁵. A oto jeszcze dwie inne sprawy, których kształt przesądza owo jednoznacznie strukturalne i semiotyczne nastawienie badawcze autora *Sporów o język*. Interesuje go przełom, jaki dokonał się w ujmowaniu wszystkich wymienionych wyżej zagadnień — od genezy języka po relacje między językiem i kulturą — gdy podstawą ich rozumienia przestały być n a ś l a d o w c z e pojęcia analogii i podobieństwa, a stały się nią zupełnie nowe systemowe pojęcia „budowy”, „swoistości”, „mechanizmu” języka. Kłoch uznaje, powołując się w tej materii na opinie R. Jakobsona i M. R. Mayenowej, że przełom ten dokonał się dzięki inwencji językoznawczej Mrozińskiego. Był on bowiem tym badaczem, który przestał zajmować się genezą języka i skupił na „języku samym w sobie, jego budowie, empirycznych obserwacjach natury dźwięków i możliwościach komunikacyjnych” (s. 158). Mroziński przyjmował, jako konwencjonalista, że w tworzeniu się znaczeń słownych ma dominujący udział tradycja, zwyczaj, porozumienie. Mówiąc ściślej, uznawał, że podstawą kojarzenia dźwięków wydobywających się z ludzkich ust i rzeczy przez te dźwięki nazywanych są operacje arbitralne. Wcześniej, przed pojawieniem się prac Mrozińskiego, wahano się z reguły, czy za tę podstawę wiązania dźwięków i rzeczy nie uznać raczej naturalnej motywacji, operacji z gruntu naśladowczej. Zwłaszcza, że zastanawiano się wówczas, nie tylko nad historycznymi, ale i prehistorycznymi stadiami mowy, gdy znaki motywowane, odpowiadające cechom nazywanych rzeczy, z pewnością występowały. Kłoch podsumowuje owe wahania oświeceniowych teoretyków w następujący sposób:

Niektórzy sądzili, iż język pierwotny w swej mimetycznej postaci, wspólnej zwierzętom i ludziom, był czymś jakościowo różnym od języka artykułowanego, inni, że mowa operująca początkowo znakami naśladowanymi ewoluowała w stronę arbitralności, jeszcze inni zaś, że język współczesny zawiera przede wszystkim znaki umotywowane. Byli także i tacy, którzy dostrzegali w mowie wyrazy dźwiękonaśladowcze i wyrazy powołane przez konwencję. To, co w języku pochodziło „z natury” traktowano najczęściej jako onomatopieję lub symbol dźwiękowy, to zaś, co było wynikiem oddziaływania konwencji, zaliczano do sfery kultury (s. 129).

⁵ J. Lyons *Semantyka*, t. 1, tłum. A. Weinsberg, Warszawa 1981.

Kloch sądzi, że odwrót od przekonań, stanowiących mieszanię idei ówczesnego kratylizmu i konwencjonalizmu stał się możliwy dzięki Mrozińskiemu. To on bowiem jako jeden z pierwszych w Europie zerwał świadomie i konsekwentnie z główną ideą XVIII-wiecznego kratylizmu: traktowaniem języka jako „żywego organizmu”, który podobnie jak ludzie podlega oddziaływaniu natury. I jednocześnie potraktował język jako „mechanizm” zawierający w sobie samym zdolność uruchamiania komunikacji.

Jest sprawą oczywistą, że zerwanie z założeniem jakoby pojawianiem się i wyborem słów jako odpowiedników rzeczy zawiadywała n a ś l a d o w c z a r e l a c j a a n a l o g i i, mówiąc krótko, zerwanie z oświeceniowym, a i starożytnym kratylizmem nie było kresem ani samych tych kategorii, ani samej tej idei. Niewątpliwie, zerwanie to stało się podglebiem, z którego wyrosła lingwistyka strukturalna de Saussure'a, jej założeniem stało się bowiem przekonanie, że „to nie mowa jest wrodzona człowiekowi, lecz zdolność ustanowienia języka, a więc systemu zróżnicowanych znaków”.⁶ W tym punkcie trzeba się z Klochem zgodzić. Jednak niewątpliwą prawdą jest także i to, że wyraziste przeciwieństwo kratylizmu i konwencjonalizmu w wielowiekowej refleksji nad językiem było i jest czymś tak naturalnym, i tak zarazem niezbędnym, że zwycięsko opiera się „przewagom” czysto konwencjonalistycznych nastawień badawczych. Nie dotknęła go więc ani przełomowość „teleologicznej” lingwistyki Mrozińskiego, ani też dominacja „strukturalnej” lingwistyki de Saussure'a. Do tego rodzaju stwierdzeń upoważnia choćby znana praca H. G. Gadamera *Ukształtowanie pojęcia „języka” w dziejach myśli zachodnioeuropejskiej*, czy późniejsza, równie dobrze znana, cytowana przez Klocha, książka G. Genette'a *Mimologiques. Voyage en Cratylie*.⁷ W pierwszej z tych publikacji grecka opozycja kratylizmu i konwencjonalizmu traktowana jest jako jedno z dwóch, obok „chrześcijańskiej idei inkarnacji”, źródeł lingwistyki. Natomiast druga jest interpretacją przejawiania się idei kratylizmu od czasów starożytności po współczesność — zarówno w odniesieniu do form językowych, słownych, i co ciekawsze, składniowych, jak i do form literackich. Sądzę, że Kloch ma świadomość tej niezwyklej, istotowej wagi, jaką zawiera w sobie przeciwieństwo kratylizmu i konwencjonalizmu. Jednak w swojej książce jako „stronnik” Mrozińskiego i de Saussure'a nie

⁶ F. de Saussure, cyt. za J. Derrida *Positions*, Paris, 1972, s. 32.

⁷ H-G. Gadamer *Ukształtowanie...*, w: *Prawda i metoda*, Kraków 1993; G. Genette *Mimologiques. Voyage en Cratylie*, Paris 1976.

daje temu odpowiedniego wyrazu. Czy postępowanie badawcze Kłocha byłoby inne, gdyby brał pod uwagę to, że de Saussure pozostawił w swej spuściźnie nie tylko *Kurs lingwistyki strukturalnej*, lecz także bruliony, zawierające teorię anagramów, sformułowaną w związku z najstarszą poezją łacińską? Z zapisków de Saussure'a wynika, że w tej poezji problematyka arbitralności znaków słownych istnieje je d n o c z e ś n i e z problematyką ich dźwiękowej motywacji. Jest coś z paradoksu, że owe bruliony de Saussure'a, odcyfrowane i skomentowane przez J. Starobinskiego w 1971 r. wpłynęły na odwrót od strukturalizmu pojmowanego doktrynalnie i przyczyniły się do zwycięstwa dekonstrukcjonizmu.⁸

Ośrodkowym problemem oświeceniowych teorii języka, a i późniejszych, z przełomu XVIII i XIX w., jest w ujęciu Kłocha „zagadnienie myśl — język — mowa” (s. 39). Jedną z płaszczyzn odniesienia przy rozważaniu tego tematu jest dla niego XVII-wieczna koncepcja języka Arnauld i Nicole. Natomiast drugą — współczesna neurolingwistyka L. S. Wygotskiego. W istocie, trudno jest zgłosić zastrzeżenia do tak „skonstruowanego” postępowania badawczego. Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że złożoność problematyki myślenia i języka, podnoszona przez autora *Sporów o język* w związku z koncepcjami Arnauld i Nicole z jednej strony, a Wygotskiego z drugiej, tylko częściowo odpowiada ujęciu tej problematyki przez badaczy, którzy interesują go najbardziej. Zapewne dlatego, że Kloch w tym punkcie swojej książki omawia polskie, skromniejsze niż europejskie, teorie języka. Sądzę jednak, że gdyby zajął się problematyką dramatycznych powiązań myśli — języka — mowy polskich pisarzy tamtych czasów, jego rozważania nie zawierałyby dysproporcji. A można byłoby tu sięgnąć do poezji i prozy autobiograficznej F. Karpińskiego, do powieści Wirtemberskiej i do wczesnej twórczości poetyckiej Mickiewicza.

Aby wyjaśnić istotę podejścia Arnauld i Nicole do problemu wiązania się myśli ze światem poprzez język, przywołuje Kloch wieloskładnikowy schemat tego zjawiska zbudowany przez M. Faucault. Gdy pisze zaś o ujęciu tego procesu przez Wygotskiego, kładzie z kolei nacisk na to, że „mowa nie jest wcale prostym odwzorowaniem myśli” (s. 32). Chce nam w ten sposób uzmysłowić fakt, że przejście od myśli do słowa to, zdaniem Arnauld i Nicole, złożona operacja, a zdaniem Wygotskiego, złożony proces odtwarzania myśli w słowach. A zatem, wszystko, co tutaj się dzieje — prowadzi poprzez

⁸ J. Starobinski *Lets mots sous les mots. Les anagrammes de Ferdinand de Saussure*, Paris 1971.

znaczenie (por. s. 31). Właśnie tej najistotniejszej problematyki znaczenia jako „materii” zarazem myśli i języka brakuje w referowanych przez Kłocha polskich teoriach języka. Stawiają one całą rzecz ogólnikowo, bądź na płaszczyźnie „symetrii” myślenia i języka, bądź, odwrotnie, „różnic” między tymi fenomenami. Czyż jednak ta sprawa łączenia się myśli i języka poprzez znaczenie nie jest obecna w pierwszych wersach Wielkiej Improwizacji? I czyż nie jest tam ona przedstawiona jako węzeł zjawisk bardziej złożonych niż w logicznym traktacie Arnauld i Nicole oraz w psychologicznej rozprawie Wygotskiego? Bo czyż w wyznaniu Konrada nie kryje się idea, że proste przejście od myśli do słów jest niemożliwe? I czyż Konrad za największą trudność spotykaną na tej drodze nie uznaje rozmiękania się duchowej (myślowej) i materialnej (dźwiękowej) strony słów? Nie zaś tylko: nie pokrywania się myśli ze znaczeniami słów, które ją wyrażają? Wracają więc tu „stare” kwestie arbitralności i dźwiękowej motywacji znaczeń słownych. W wypowiedzi Konrada to właśnie, te dwa zjawiska zostają ukazane jako przeszkody na drodze myśli, która „z duszy leci bystro nim się w słowach złamie”, jako swoiste instrumenty, których nie może ona nie użyć, choć są dodatkami niszczącymi jej całość i wolność („wszystkie promienie jej ducha”). I czyż zarazem Konrad za trudność równie wielką, co poprzednia, nie uznaje niedomyślności odbiorców słów? Znak to, że ani w lingwistyce, ani w psychologii, ani w refleksji nad literaturą problem język — myślenie nie można oddzielić od problemu język — działanie. Wypowiedź Konrada uzmysławia to wyraźnie: język (słowo) służy kreacji myśli i j e d n o c z e ś n i e pobudzaniu jej odbioru.

Ewa Szary-Matywiecka

Parafrazy transcendencji

O związku literatury z *sacrum* pisze się obecnie wiele.¹ Autor omawianej przeze mnie książki², Wojciech Gutowski,

¹ Popularność tej problematyki wyraża się nie tylko dużą liczbą pojedynczych publikacji, ale także inicjatywami wielotomowymi — tu wymienić należy przede wszystkim serię „Religijne Tradycje Literatury Polskiej”, wydawaną przez Zakład Badań nad Literaturą Religijną Katolickiego Uniwersytetu Łuńskiego. Szczegółowo o powstających pracach sakrologicznych informuje publikowana cyklicznie od wielu lat przez KUL bibliografia pt. *Religia a literatura*.

² W. Gutowski *Wśród szzyfrów transcendencji. Szkice o sacrum chrześcijańskim w literaturze polskiej XX wieku*, Toruń 1994, wyd. Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, seria „Rozprawy”.